



Więzień z Bastøy

Krzysztof Spadło

Krzysztof Spadło

Więzień z Bastøy

[Kup książkę](#)

PPROJEKT OKŁADKI:
Dariusz Herbowski

KOREKTA I REDAKCJA:
Małgorzata Wawrzyniak
Remigiusz Michalik

ISBN:
978-83-964910-7-7

WYDAWCA:
KAGO

KONTAKT:
kontakt@wydawnictwokago.pl

Copyright © 2022 Krzysztof Spadło & KAGO

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2022

[Kup książkę](#)

*Dla Marcina „Kamyka” Kamińskiego
w podziękowaniu za naszą
wieloletnią i owocną współpracę.*

1. **Dristig bankran!**

Wieczorową porą w poniedziałek 28 czerwca 2021 roku, serwisy informacyjne wszystkich, europejskich stacji telewizyjnych, przekazały wieść o sensacyjnym zdarzeniu, do którego doszło w stolicy Norwegii. Kilka minut po czternastej w centrum Oslo, w bardzo bliskim sąsiedztwie tamtejszego parlamentu, znienacka rozbrzmiały dźwięki syren policyjnych radiowozów. Pojazdy z piskiem opon zatrzymały się na skrzyżowaniu Karl Johans gate i Lille Grensen. Funkcjonariusze błyskawicznie obstawili teren, izolując w bezpiecznej odległości wejście do lokalnej siedziby banku DNB. Mundurowi starali się, aby jak najdalej odsunąć tłum gapiów, których przybywało z każdą chwilą. Nikt z postronnych obserwatorów nie miał najmniejszych wątpliwości, że dzieje się coś złego, bowiem ponad okolicznymi dachami domów, nagle zawisły trzy policyjne śmigłowce. Nim upłynęło kolejnych pięć minut, na miejscu zdarzenia pojawiły się dwie, czarne furgonetki należące do Forsvarets Spesialkommando. Z opancerzonych wnętrz wyskoczyli uzbrojeni żołnierze norweskich Specjalnych Sił Zbrojnych. Służący w elitarnej jednostce, mieli na sobie mundury w kolorze khaki, kuloodporne kamizelki, hełmy i zamaskowane twarze. Zapewne wiele razy ćwiczili wszelkie możliwe warianty działań w terenie zabudowanym, bowiem w okamgnieniu, oddział antyterrorystów zajął konkretnie skonfigurowany szlak i pozycje.

Ludzie, obserwujący z oddali zdarzenie, nagrywali swoimi telefonami zaskakujące zajście. Jednocześnie w mediach społecznościowych zawrzało, gdyż wielu gapiów, prowadziło transmisję na żywo. W ciągu kwadransa pojawiły się wozy transmisyjne kilku stacji telewizyjnych, ale żaden z przedstawicieli policji, nie udzielił reporterom jakichkolwiek wyjaśnień.

Dokładnie o czternastej czterdzieści w stronę oszklonych drzwi, za którymi znajdowała się bankowa instytucja, ruszył mężczyzna w cywilnym ubraniu. Miał na sobie kamizelkę kuloodporną. Nie był uzbrojony, a ręce trzymał nieco rozchylone na boki i wszystko wskazywało na to, że pełni rolę negocjatora. Przez chwilę stał przed drzwiami, po czym ktoś będący wewnątrz, nieznacznie uchylił szklane wrota i mężczyzna przekroczył próg. Setki osób zgromadzonych na zewnątrz spoglądały w stronę, gdzie zniknął przedstawiciel służb. Wielu ludzi zapewne czuło się jak statyści, biorący udział w spektakularnej produkcji filmowej. Mało kto może powiedzieć, że w pogodny letni dzień, był świadkiem napadu na bank. Zapewne wielu z obecnych oczekiwało, że być może dojdzie do szturm mundurowych, albo rozpęta się strzelanina, rodem z hollywoodzkich opowieści o gangsterach.

O czternastej pięćdziesiąt sześć, w stronę banku, ruszyło pięciu członków norweskiego Spezialkommando. Szli, mierząc z broni, gotowi w każdej chwili oddać strzały, ale nie poruszali się w sposób, który mógłby świadczyć, że przystępują do ataku. Ostrożnie weszli do budynku.

Po kilku minutach szklane wrota, otworzyły się na oścież. Antyterroryści eskortowali obezwładnionego człowieka, którego nadgarstki były skrupowane taktycznymi, samozaciskowymi kajdankami, wykonanymi z czarnego nylonu. Mężczyzna kroczył pochylony, a na głowie miał kominiarkę, która skutecznie zakrywała jego oblicze. Po kilku minutach dwa policyjne samochody oraz wozy należące do służb specjalnych, na włączonych sygnałach opuściły miejsce zdarzenia. Pozostali policjanci, przystąpili natomiast do czynności związanych z przesłuchaniem świadków.

Pod wpływem nacisku ze strony mediów, jeszcze tego samego dnia biuro rzecznika dystryktu policyjnego miasta i gminy Oslo, wydało krótkie oświadczenie oraz zgodę na telewizyjną emisję fragmentu, pochodzącego z zapisu bankowego monitoringu. Na nagraniu było widać jak tuż po czternastej, do siedziby palcówki, wszedł mężczyzna. Przez ramię miał przewieszony nieduży plecak, a na głowie czapkę z daszkiem. Mężczyzna poruszał się w takiej pozie, aby żadna z bankowych kamer nie była w stanie uchwycić pełnego wizerunku jego twarzy, o policzkach pokrytych zarostem.

Parterowa kondygnacja budynku, gdzie mieścił się oddział banku DNB, stanowiła jedną dużą salę. W tym czasie przy każdym z sześciu stanowisk pracownicy obsługiwali klientów, a kilka następnych osób, siedziało na sofach i cierpliwie czekało na swoją kolej. Wnętrze instytucji, kojarzyło się z ekskluzywnym, hotelowym holem. Wrażenie potęgowały dwa rzędy marmurowych filarów i cztery duże, ceramiczne donice. Wyrastały z nich długie łodygi, dzwigające pierzaste i soczyste zielone liście palm z rodziny arekowatych. W rogu pomieszczenia stał automat z wodą, gdzie każdy petent w razie potrzeby, mógł ugasić pragnienie. Na ujęciu z innej kamery monitoringu było widać, jak mężczyzna w bejsbolowej czapce podchodzi do dystrybutora z wodą. Sięga w stronę pojemnika w kształcie tuby, wyciąga kubek, stawia przedmiot we właściwym miejscu i uruchamia dozownik, serwujący przezroczysty płyn. Jakby od niechcenia, ściąga z głowy czapkę i chowa ją do plecaka. Wszystkie jego czynności rejestruje oko kamery, która jest ulokowana tuż pod sufitem, ale znajduje się kilka metrów za jego plecami. Po chwili dzieje się coś nieprzewidywalnego. Mężczyzna błyskawicznym ruchem przywdziewa kominiarkę, zasłania swoją twarz, wyjmując z plecaka pistolet, obraca się tyłem do automatu z wodą i wykrzykuje jakieś słowa. Wyciągniętą przed siebie broń trzyma oburącz, a ludzie przebywający w banku, padają plackiem na podłogę. Na ich twarzach widać malujące się przerażenie. W tym momencie nagranie zostało przerwane, a widzowie nie mieli okazji zobaczyć, co działo się później. Kolejne ujęcie

pokazywało, jak członkowie jednostki specjalnej wyprowadzają skrępowanego napastnika z budynku. Oświadczenie rzecznika kończyły słowa, potwierdzające, że na szczęście nie doszło do żadnej tragedii i nikomu nie stała się krzywda. Potem dodał, że na chwilę obecną nie są jeszcze znane motywy sprawcy, ewentualny udział osób trzecich, a dla dobra śledztwa, tożsamość napastnika nie może zostać podana do publicznej wiadomości.

Norweski news, trwał zaledwie kilkadziesiąt sekund i w oryginalnej formie, powędrował w świat. W dobie dzisiejszych czasów, wieść o tak zuchwałym incydencie, do którego doszło w sercu najdroższej, europejskiej stolicy, obudziła spore emocje. Przez kilka następnych dni, w skandynawskich telewizjach rozgorzały debaty, a niektórzy rozmówcy skupiali się na kwestiach, które nie dotyczyły aktu niniejszego przestępstwa, tylko problemu związanego ze szkodliwością niekontrolowanego przepływu informacji. Nieudany napad w Oslo był tego najlepszym przykładem, że niektórzy postronni ludzie, będący przypadkowymi świadkami niebezpiecznego zdarzenia, okazują się niewyobrażalnie bezmyślni. Jednym z gości takiego programu był emerytowany oficer, który wiele lat temu, dowodził jednostką Forsvarets Spesialkommando. Z nieukrywanym ubolewaniem stwierdził, że ogólnie dostępna technologia, zaczyna kształtować ludzką mentalność. Mocnymi słowami skrytykował czyjąś lekkomyślną chęć zaistnienia w mediach społecznościowych, kosztem cudzej tragedii. Za karygodne uważał fakt, że postronny obserwator niebezpiecznego zajścia, jakim był napad w Oslo, mógł relacjonować na żywo transmisję. Zwrócił uwagę swoich rozmówców, że jeśli w zdarzeniu brałaby udział zorganizowana grupa przestępcza, wówczas sprawcy, mieliby wymieniony podgląd na działania taktyczne jednostki antyterrorystycznej. Taka wiedza, pozwoliłaby napastnikom zyskać niebywałą przewagę, stanowiącą poważne zagrożenie dla życia członków Specjalnych Sił Zbrojnych, zaangażowanych w interwencję. Na koniec swojej wypowiedzi stwierdził, że rząd czym

prędzej powinien wdrożyć w życie przepisy prawne, które pod groźbą odpowiedzialności karnej, będą zabraniały osobom postronnym, prowadzenia relacji on-line ze zdarzeń z czynnym udziałem służb, szkolonych w walce z szeroko rozumianym terroryzmem. Krytyczna wypowiedź byłego dowódcy, bardzo szybko została ochrzczona ponurym mianem „dywersji medialnej”.

Norweska policja nie udzielała dziennikarzom żadnych informacji, dotyczących dochodzenia. Notoryczne naciski ze strony przedstawicieli mediów, były zbywane przez rzecznika służb mundurowych oklepanymi twierdzeniami, że śledztwo jest w toku i dla jego dobra, wszelkie informacje są objęte klauzulą tajemnicy służbowej. Zapewniał, że sprawa jest bardzo skomplikowana i kiedy wszystkie wątki zostaną wyjaśnione, wówczas pojawi się oficjalny komunikat.

Krzykliwy tytuł medialnych doniesień, brzmiący „Dristig bankran!” w polskim tłumaczeniu oznaczał „Zuchwały napad na bank!”, ale prasowe informacje o zdarzeniu nie pojawiły się w kraju nad Wisłą. Po dwóch tygodniach wiadomość o incydencie uciхла, bowiem w Norwegii ruszyły kampanie polityczne, związane z wrześniowymi wyborami do parlamentu.

Od chwili zatrzymania, sprawca napadu przebywał w murach więzienia w Oslo, które znajduje się w budynkach dawnego browaru przy ulicy Åkerbergveien 11. Odmawiał składania zeznań, a policja nie była w stanie ustalić jego tożsamości. Mężczyzna mówił niewiele i posługiwał się językiem angielskim, ale jego akcent sugerował, że prawdopodobnie jest mieszkańcem Europy Wschodniej. Norweska policja rozpoczęła skomplikowaną procedurę o szeroko zakrojonych, międzynarodowych działaniach. W ostatnich dniach lipca, skandynawskie służby uzyskały stuprocentową pewność, że nieudanego rabunku na bank DNB, dokonał obywatel polskiego pochodzenia. Mężczyzna nazywał się Artur Gaszyński i liczył sobie czterdzieści dziewięć lat. Potwierdzenie

tożsamości napastnika, wywołało reakcję domina i uruchomiło w najwyższych kręgach państwowych władz kraju wikingów, serie zaskakujących wydarzeń.

W pierwszych dniach sierpnia norweski rząd powołał specjalną komisję, która miała podjąć szereg decyzji w sprawie czerwcowego zajścia. W skład owej komisji weszło dziesięć osób, a każda z nich reprezentowała ugrupowanie zasiadające w parlamencie. Członkowie powołanego gremium, pomimo różnic politycznych i programowych, bardzo szybko i jednomyślnie ustalili, że zdarzenie zostanie uznane za precedens. Byli również zgodni, że rozprawa sądowa musi odbyć się za zamkniętymi drzwiami, a wszelkie informacje dotyczące motywów sprawcy, jego tożsamości oraz miejsca odbywania kary, nie zostaną podane do publicznej wiadomości. Wszystkie okoliczności zyskają status poufnych, poza ogłoszeniem ostatecznego wyroku norweskiego sądu. Ponadto komisja złożyła apel, skierowany do przedstawicieli obecnego rządu, aby czym prędzej doprowadził do nowelizacji ustawy w sprawie cudzoziemców, którzy dopuszczają się przestępstw na terenie Norwegii.

Premier po zapoznaniu się z ostatecznym raportem komisji, wyraził swoje pełne poparcie dla wszystkich ustaleń, podjętych przez jej członków. Złożył swój podpis na dokumencie, który świadczył o tym, że decyzje parlamentarzystów są uzasadnione i kierują się względami bezpieczeństwa oraz dobrem narodowym Królestwa Norwegii. Na najbliższym posiedzeniu rządu podjęto natomiast projekt uchwały, która w bardzo krótkim czasie, miała doprowadzić do zmian prawa względem obcokrajowców, stojących przed norweskim wymiarem sprawiedliwości.

W połowie sierpnia odbyła się pierwsza, a zarazem ostatnia rozprawa sądowa, dotycząca nieudanego rabunku na siedzibę DNB, która trwała raptem kilkadziesiąt minut. Ze względów proceduralnych, w procesie musiał wziąć udział tłumacz przysięgły.

Z chwilą, kiedy trzech dostojnych sędziów zajęło miejsca, adwokat Artura Gaszyńskiego, będący jego obrońcą przydzielonym

z urzędu, poprosił o głos. Poinformował obecnych, że w żadnym wypadku nie może reprezentować oskarżonego. Na poparcie swoich słów, przedstawił pisemne oświadczenie, w którym Gaszyński zrzekał się jakiegokolwiek, oferowanej pomocy prawnej. Mecenas bezradnie rozłożył ręce, a następnie za zgodą sędziów, opuścił salę rozpraw. Po krótkiej chwili ogólnej konsternacji, przystąpiono do odczytania aktu oskarżenia, najpierw w języku norweskim, a potem w polskim. Z chwilą, kiedy skończono, człowiek siedzący na ławie oskarżonych nie pytając o pozwolenie, podniósł się z miejsca i powiedział tylko jedno, krótkie zdanie w swojej ojczystej mowie:

– Przyznaję się do wszystkich zarzucanych mi czynów.

Mężczyzna nie okazywał żadnych emocji, nie przejawiał skruchy i nie prosił o łagodny wymiar kary. Na zadawane pytania, jakie później zaczęły padać z ust głównego sędziego i prokuratora, Gaszyński odpowiadał trzema słowami, które brzmiały:

– Odmawiam udzielenia odpowiedzi.

Do akt sprawy dołączono dwie niezależne opinie więziennych psychologów i wyniki ogólnych badań lekarskich. Z raportów wynikało, że człowiek stojący przed sądem nie przejawia objawów choroby psychicznej i nie jest osobą agresywną. Kondycja zdrowotna oskarżonego, również nie budziła żadnych zastrzeżeń. Nie posiadał blizn po urazach, operacjach lub śladów świadczących o aktach samookaleczenia. Na jego ciele nie było tatuaży. Przez blisko pięćdziesiąt dni, które spędził w areszcie ani razu nie zgłosił złego samopoczucia lub potrzeby zażycia jakichkolwiek środków farmakologicznych. W dniu zatrzymania pobrano jego krew do badania. Wyniki wykluczyły obecność alkoholu, narkotyków oraz środków o charakterze pobudzającym lub odurzającym.

Artur Gaszyński w trakcie procesu, sprawiał wrażenie człowieka niebywale opanowanego i spokojnego, a jego zachowanie oczywiście nie umknęło uwadze sędziów. Bardzo niepokojącym był fakt, że odmawiał udzielenia wyjaśnień. Jego nieuzasadniony upór, słudzy Temidy odbierali nie tylko jako objaw lekceważenia

powagi instytucji, którą mieli zaszczyt reprezentować, ale również jako kpinę z ich sędziowskich majestatów.

Nikt z ludzi biorących udział w rozprawie za zamkniętymi drzwiami, nie przypuszczał, że proces zakończy się w tak szybkim czasie.

Gaszyński usłyszał, że wyrokiem Sądu Najwyższego Królestwa Norwegii, określanego w tym skandynawskim kraju słowem Høyesterett, za swój czyn zostaje skazany na osiem lat więzienia. Był to najwyższy wyrok, jaki mógł otrzymać za przestępstwo, którego się dopuścił. Sąd nie uwzględnił żadnych okoliczności łagodzących. Oskarżony dowiedział się również, że dopiero po odbyciu pięciu lat kary, będzie mógł ubiegać się o wcześniejsze zwolnienie i jeśli takowe uzyska, zostanie natychmiast deportowany do swojej ojczyzny. Miejsce odbycia zasądzonego wyroku miało zostać ustalone w ciągu najbliższych czternastu dni. Głównym argumentem owego postanowienia był fakt, że w tej kwestii wymiar sprawiedliwości musi się skonsultować z zarządem norweskiej Służby Więziennictwa i Probacji. Sędzia ogłosił również, że do chwili podjęcia ostatecznej decyzji, Artur Gaszyński będzie przebywał w dotychczasowym areszcie, a jego pobyt, zostanie wliczony w wymiar zasądzonego wyroku.

Następnego dnia przed południem norweski policjant Nils Eriksen, który od pierwszej chwili zajmował się ustaleniem tożsamości bandyty z Oslo, wysłał e-mail do warszawskiego Biura Międzynarodowej Współpracy Policji. Elektroniczna wiadomość, napisana w języku angielskim, trafiła na resortową skrzynkę pocztową komisarza Pawła Urczyka, który był zastępcą dyrektora Wydziału Wsparcia Wymiany Informacji. Komisarz nie spodziewał się powiadomienia w tak szybkim czasie. Był szczerze zdumiony i z uznaniem przyznał w duchu, że norweski wymiar sprawiedliwości działa w piekielnie błyskawicznym tempie. Treść maila miała charakter oficjalnego, służbowego zawiadomienia, ale kończył ją lekko koleżeński akcent. Nadawca wiadomości i jej odbiorca,

nigdy nie mieli okazji spotkać się twarzą w twarz, aczkolwiek ponad sześć tygodni temu, rozpoczęli zawodową współpracę. Nils Eriksen skontaktował się z Urczykiem na początku lipca. Zwrócił się z prośbą o pomoc w myśl porozumień, które zobowiązywały wszystkich członków Interpolu oraz Europolu, do wymiany informacji pomiędzy organami ścigania państw zrzeszonych w niniejszych instytucjach. Od tamtej pory wymienili z sobą wiele maili. Natomiast dzisiejszego przedpołudnia Norweg przysłał informację, że Artur Gaszyński został wczoraj skazany przez tamtejszy sąd, na karę ośmiu lat pozbawienia wolności. Oskarżony przyznał się do winy, ale odmówił złożenia jakichkolwiek wyjaśnień i nie zdradził motywów, którymi się kierował. Policjant powiadomił Urczyka, że po odbyciu kary, Gaszyński zostanie deportowany do Polski. Norweg zapewniał, że oficjalne pismo wraz z kompletem urzędowych dokumentów, niebawem trafi do rąk polskiego ambasadora w Oslo. Wyjaśnił, że akta powinny zostać przekazane polskiej placówce dyplomatycznej z chwilą, kiedy będzie już znane ostateczne miejsce kary, w którym Gaszyński spędzi kilka kolejnych lat swojego życia. Decyzję w tej sprawie sąd miał podjąć do końca sierpnia. Eriksen podkreślił, że na przedstawicielach polskiej ambasady będzie spoczywał obowiązek dostarczenia otrzymanej dokumentacji do warszawskiej siedziby BMWP. Dodał również, że jeśli ktoś z członków rodziny skazanego lub znajomych, chciałby mu jeszcze w sierpniu złożyć odwiedziny, to powinien się udać do więzienia w Oslo, przy ulicy Åkerbergveien 11. Jednocześnie zasugerował, żeby osoby decydujące się w tym celu na przyjazd do Norwegii, skonsultowały się najpierw z placówką penitencjarną pod podanym numerem kontaktowym. W ostatnim zdaniu Nils podziękował Urczykowi za owocną i profesjonalną pomoc oraz wyraził nadzieję, że być może w przyszłości, uda im się spotkać osobiście.

Komisarz odpisał i poprosił norweskiego kolegę po fachu, żeby z chwilą kiedy zostanie podjęta przez sąd decyzja o finalnym miejscu skazania Gaszyńskiego, powiadomił go i przysłał mu adres więzienia.

2. OssaVision

W trakcie minionej dekady w życiu Jolanty Ossakowskiej, bardzo rzadko zdarzały się takie dni jak dziś. Dni pozbawione zawodowych zajęć i obowiązków. Dziś od samego rana mogła się relaksować w swoim dwupokojowym mieszkaniu na Powiślu i spędzać czas przed sztalugą. Lubiła malować. Naprawdę lubiła to zajęcie i czasami w głębi duszy żałowała, że nigdy nie podjęła próby, aby przekuć pasję w źródło utrzymania. Może brakowało jej odwagi, żeby postawić wszystko na jedną kartę i pomimo braku artystycznego wykształcenia, poświęcić się malarstwu? Może miała zbyt krytyczny stosunek do swojej twórczości? Jej znajomi i przyjaciele twierdzili, że posiada ogromny talent. Nie była jednak pewna, czy może im bezgranicznie wierzyć na słowo. Ludzie potrafią być mili, ale to nie znaczy, że są szczerzy.

Jola miała czterdzieści lat i uważała swoje życie za udane, chociaż ciągnęła za sobą bagaż kilku przykrych doświadczeń. Piętnaście lat temu stanęła na ślubnym kobiercu i została panią Janik. Przysięgała wierność, miłość i uczciwość małżeńską, w zdrowiu i chorobie, na dobre i na złe, aż do grobowej deski. Identyczne przyrzeczenie usłyszała z ust swojego wybranka i poczuła się wtedy najszcześliwszą kobietą świata. Pół roku później Jola zaszła w ciążę, która nie była kwestią przypadku, tylko planowanym i świadomym posunięciem młodego małżeństwa. W trzecim mie-

siącu poroniła, a potem okazało się, że nigdy nie będzie mogła mieć dzieci. Nigdy nie pozna prawdziwego smaku macierzyństwa, gdyż los pozbawił ją szansy, aby kiedykolwiek mogła zostać biologiczną matką. Nim nadeszła druga rocznica ślubu, małżeństwo państwa Janik rozpadło się. Po rozwodzie Jola wróciła do swojego panieńskiego nazwiska i postanowiła, że nigdy nie zostanie czyjąś żoną. Po rozstaniu z mężem przeżywała trudny okres, a świadectwem tych ponurych dni, był cykl jej mrocznych obrazów. Płótna pokrywały interesujące kompozycje pejzaży w czarno-czerwonych tonacjach. Zionął z nich smutek, rozpacz, żal i beznadzieja. Zachowała wszystkie melancholijne malowidła, ale żadne z nich, nigdy nie zawisło na ścianie. W tej chwili blejtramy, liczące sobie kilkanaście lat, spoczywały w piwnicy owinięte folią.

Jola zawsze ceniła sobie subtelne malarstwo impresjonistów i w tym kierunku zmierzała jej amatorska twórczość. Delikatność i łagodność. Pastelowe kolory, mozaiki barw i cieni, zakłęte w bezruchu, a jednocześnie pełne wirującego tańca. Najbardziej lubiła malować drzewa, parkowe aleje albo leśne trakty. Fascynował ją wiatr, którego poduchy niejednokrotnie starała się uchwycić w swoich obrazach. Zawsze, kiedy zasiadała przed sztalugą, wszystko inne przestawało istnieć. W takich chwilach jej umysł wyłączał się i zyskiwał błogi spokój. Nie rozmyślała wówczas o pracy i związanych z nią obowiązkami. Uciekała w świat marzeń, wyobrażając sobie malownicze widoki, jakie chciałaby widzieć w rzeczywistym świecie, po drugiej stronie szyby. Z okien swojego mieszkania przy ulicy Zajęczej, mogła jedynie spoglądać na czteropiętrowy blok i sąsiadujący z nim plac budowy. Czasami miewała takie dni, że najchętniej postąpiłaby w myśl popularnego sloganu „a może by tak rzucić to wszystko i wyjechać w Bieszczady?”. Jola oczywiście miała świadomość, że łatwo wypowiedzieć tę uroczą kwestię, ale gorzej przedstawiała się sprawa z realizacją takiego pomysłu. Prawdę powiedziawszy, doskonale wiedziała, że w jej wypadku, tak właśnie brzmiały słowa, określające rzecz niemożliwą do spełnienia.

Chyba każdy człowiek, przynajmniej raz w życiu, oddał się marzeniom i wizjom o swojej alternatywnej egzystencji. Przyjemnym rozmyślaniom na temat doczesnego bytu, który chciałby wieść w jakimś cudownym miejscu, zupełnie innym od tego, w którym tkwi. Dzięki wyobraźni możemy ujrzeć siebie samych w wyidealizowanym świecie. Możemy mieszkać w pięknym domu, ulokowanym w malowniczych i zniewalających okolicznościach przyrody. W świecie fantazji nie marnujemy swojego czasu na żadną durnowatą pracę w fabryce, w biurze, w sklepie lub jakimś innym, równie żalosnym miejscu. Tam nie jesteśmy niewolnikami systemu monetarnego. W marzeniach nie zastanawiamy się skąd bierzemy forszę na wszystkie wydatki. Jesteśmy bogaci, ustawieni aż do grobowej deski. Szmal w żadnym wypadku nie jest naszym zmartwieniem, bo na przykład trafiliśmy szóstkę w totka, akurat wtedy, kiedy była jedna z największych kumulacji. W wymyślnym życiu nie pracujemy, tylko z sukcesami realizujemy swoje pasje, ciesząc się każdą chwilą naszego szczęśliwego istnienia. Prezentujemy się korzystnie, jesteśmy atrakcyjni i zadowoleni ze swojej sylwetki. Nie dotyczą nas kłopoty, omijają wszelkie choroby oraz przykre zdarzenia i generalnie, jest super.

Jest kurwa, po prostu super!

Jola Ossakowska oczywiście też nie miałaby nic przeciwko, żeby toczyć jedną ze swoich wymarzonych egzystencji. Dawno temu, będąc jeszcze uczennicą liceum ogólnokształcącego, odkryła w sobie powołanie, które w bardzo skuteczny sposób napędzało jej rozkoszne dumania o własnej przyszłości. Już w szkole średniej wiedziała, że chce zostać wziętą dziennikarką. Była ambitna i sumiennie przykładała się do nauki. W roku 2000 zdała maturę i dostała się na Wydział Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego. Pięć lat później, mogła się tytułować panią magister. Marzyła o zdobyciu pracy w telewizji i dopięła swego. Chciała kręcić reportaże o ważnych sprawach, chciała... Chciała zdobyć świat, ale życie szybkoitko zweryfikowało

jej wszystkie wzniosłe plany, pragnienia i oczekiwania. Rok później wyszła za mąż i musiała pogodzić życie rodzinne z zawodową pracą w korporacji medialnej. Teoretycznie powinna pracować osiem godzin dziennie, od ósmej do szesnastej, jednak nigdy nie zdarzyło się, żeby wyszła z biura przed osiemną. Bardzo szybko przekonała się, że rzeczywistość panująca w branży telewizyjnej, jest niczym przysłowiowy wyścig szczurów, gdzie króluje zabójcza konkurencja i brutalna walka o przetrwanie. Tutaj nikt nie zna litości, a droga do jakiegokolwiek namiastki sukcesu, nie dość, że wymaga bezwzględного poświęcenia, to jeszcze wiedzie przez zawity labirynt znajomości i układów. W tym bagnie nikt nie ratuje tonących, prędzej wszyscy zaczną się wspinać po jego plecach, niż wyciągną pomocną dłoń. Argumentem, którym usprawiedliwiała swoją wytrwałość i ambicje, były comiesięczne, przyzwoite wypłaty. Następnie Jola zaszła w ciążę, później poroniła, rozwiodła się i wpadła w depresję. Ocknęła się dopiero wiosną 2009 roku. Przebudzenie było bardzo bolesne. Miała wtedy raptem dwadzieścia osiem lat, ale uświadomiła sobie, że wszystkie jej marzenia o byciu wziętą reporterką, były tak samo prawdopodobne, jak jej udział w wyprawie kosmicznym wahadłowcem na orbitę okołozemską. W medialnym imperium, które wyciskało z niej wszystkie soki, pracowała w dziale zwanym Zespołem Wydawców. Najpierw jako asystentka, a z czasem awansowała na samodzielne stanowisko specjalistki do spraw pozyskiwania contentu. Wy tłumaczenie normalnemu człowiekowi, co konkretnie oznacza funkcja, brzmiąca z angielskiego content specialist i przedstawienie zakresu obowiązków zawodowych, wymagałoby napisania bardzo obszernego referatu. Krótko mówiąc Jolanta Ossakowska, była szeregowym pracownikiem działu, odpowiadającego za współpracę stacji telewizyjnej, której wiernie służyła, z niezależnymi producentami reportaży i filmów dokumentalnych. Istniał również wewnętrzny podział komórki na dwie konkretne kategorie, pierwsza dla widzów dorosłych, a druga dla dzieci. Te z kolei dzieliły się na grupy tematyczne takie jak reality show, rozrywka, polityka, gospodarka,

ekonomia, kulinaria, podróże, szeroko rozumiane dziennikarstwo śledcze, historia, przyroda, paradokumenty, nauka, kultura i Bóg wie co jeszcze. Liczba pracowników w dziale, który dbał o pozyskiwanie programów skierowanych do dojrzałego widza, liczyła sobie ponad siedemdziesiąt osób. Jola była jednym z trybików ogromnej maszyny medialnej i wchodziła w skład trzyosobowego zespołu, którego zakres obowiązków, obejmował tematy związane z historią i nauką. Ktoś mógłby stwierdzić, że zajmowała się bardzo interesującymi dziedzinami i miałby rację, ale jej praca nie polegała na zgłębianiu wiedzy. Tutaj poznała na czym tak naprawdę polega pierwsza faza produkcji telewizyjnej i wcale nie chodziło o sprawy techniczne lub tematyczne, tylko o kupę szmalu. Cholerną kupę szmalu do wydania i jeszcze większą do zarobienia.

Znajomi z pracy, z którymi Jolę łączyły nieco bardziej zażyłe kontakty, zwracali się do niej „Osa”. Trzyliterowa ksywka była jedynie pochodną od nazwiska i nijak miała się do jej charakteru, bowiem samodzielna specjalistka do spraw pozyskiwania contentu, była osobą miłą, sympatyczną i ogólnie lubianą. Na swój sposób, próbowała nawet walczyć z atmosferą niezdrowej konkurencji zawodowej, jaka panowała w Zespole Wydawców, ale jak to w życiu bywa, za życzliwość czasami zapłatą jest niewdzięczność. Jola nie unikała kontaktów towarzyskich, a jako kobieta bez zobowiązań, nigdy po zakończeniu pracy nie śpieszyła się do domu. Wiele wieczorów spędziła w gronie ludzi z korporacji, sącząc z nimi drinki w restauracji i miała również okazję poznać osoby, które zajmowały się sprawami technicznymi. Zaliczali się do nich operatorzy kamer, montażyści, dźwiękowcy... Z czasem jej lista nowych znajomych na fejsie nieco się rozrosła. Wśród nich był również Marek Klich. Pieknie przystojny kamerzysta, o blond włosach, zniewalającym uśmiechu i inteligentnym poczuciu humoru. Rówieśnik przypadł Joli do gustu już w chwili, kiedy go poznała i miał tylko jedną wadę, był szczęśliwym mężem i ojcem.

Jakiś czas później, a miało to miejsce pod koniec drugiego kwartału 2010 roku, Marek Klich wysłał do Joli krótką wiadomość na messengerze, bowiem jak do tej pory nie wymienili się jeszcze numerami telefonów:

„Hej Jola, czy mógłbym Ci dzisiaj po pracy postawić browarka? Mam pilną sprawę i sądzę, że mogłabyś mi pomóc.”

Zgodziła się i nie miała pojęcia, że to spotkanie zaważy na jej dalszym, zawodowym życiu. Umówili się o dwudziestą zero zero, w niedużej knajpcie w pobliżu Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Okazało się, że Marek oprócz pracy na etacie, jest tak zwanym „wolnym strzelcem” i wykonuje po godzinach sporo usług związanych z filmowaniem. Jego atutem był fakt, że posiadał własny, profesjonalny sprzęt i funkcjonował w ramach założonej przez siebie działalności gospodarczej. Osobiście znał wielu producentów i miał u nich wzięcie, bowiem cieszył się w środowisku operatorów wprawnym okiem i nigdy nie przesadzał z ceną.

– Rzecz w tym – powiedział – że jest bardzo pilny temat. Pewien poważny człowiek, jeden z czołowych tuzów w tym mieście, z którym miałem okazję wiele razy współpracować, poszukuje na cito ogarniętego kierownika produkcji. Płaci fajną kasę. Produkcja mało ambitna, bo chodzi o gówniany paradokument, który być może zostanie hitem – powiedział i przewrócił oczami, po czym dodał: – Sama dobrze wiesz, jakich mamy w tym kraju telewizów. Zdjęcia ruszają dokładnie z początkiem przyszłego miesiąca. Szykuje się ostra orka przez dwa tygodnie, bo trzeba machnąć sześć pierwszych, półgodzinnych odcinków, łącznie z montażem. Kręcimy w Warszawie. W obsadzie jest tylko kilku podrzędnych aktorów, a pozostali to amatorzy z łapaneki. Większość zdążyła już zapoznać się ze scenariuszem, plany zdjęciowe częściowo zostały opracowane, a cała reszta leży i kwiczy.

– Zdjęcia mają ruszyć w przyszłym miesiącu, a wszystko jest w powijakach – stwierdziła Jolka i patrząc Markowi prosto w oczy, dodała głosem pełnym ironii: – Twój znajomy producent chyba szuka cudotwórcy.

– Całkiem możliwe – odparł z uśmiechem na ustach. – Jola, ja naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego zaistniała taka sytuacja. Nie wnikałem. Wiem natomiast, że facet jest słowny, rzetelny i co najważniejsze, dobrze płaci – ostatnie dwa słowa wypowiedział z nieukrywaniem namaszczeniem. – Pomyślałem, że zapytam ciebie, bo przecież znasz od groma producentów, od maluczkich, poprzez średniaków, aż do grubasów z wagi ciężkiej.

– Jak się nazywa inwestor? – zapytała z czystej ciekawości, bo-wiem zdawała sobie sprawę, że na pewno nikogo nie poleci, ale chciała usłyszeć nazwisko tego amatora.

– Nie uwierzysz – odparł Marek i dłonią zaczesał do tyłu włosy.
– Ten facet, to Wiesław Żerniak.

– Żerniak?! – Osa nie kryła swojego zaskoczenia i po chwili zapytała, jakby chciała się upewnić: – Ten Żerniak?!

– Yes, my lady – odparł i pokiwał głową.

– Kurrrrde, chyba sobie robisz ze mnie jaja!

– Nie śmiałybym, mówię całkiem poważnie.

– Nie wierzę, że Żerniak bawi się w paradokumenty. Po prostu kurde nie wierzę!

– Możesz nie wierzyć, ale chyba jesteś świadoma, jakie siano przynoszą takie programy, prawda? – zapytał, lecz ton jego głosu brzmiał jak stwierdzenie. – Jola, nie chodzi o to, żebyś zrobiła przysługę za uśmiech i krótkie dziękuję. Jeśli załatwisz kogoś, kto podejmie się roli kierownika, albo najlepiej producenta wykonawczego, zainkasujesz za pośrednictwo. Rozmawiałem dzisiaj z Żernakiem, obiecałem, że zasięgnę języka i uprzedziłem go, że taka pomoc może wiązać się z wydatkami. Powiedział, że odpali dwa koła za rozwiązanie problemu.

– Dwa tysiące, hmmm – chrząknęła, a sekundę później, zapytała nieco podejrzliwym głosem. – A ty dlaczego angażujesz się w tę sprawę?

– Ano dlatego, że jeśli temat nie wypali i zdjęcia nie ruszą, mogę zapomnieć o naprawdę fajnej kasie. Z tego powodu wziąłem nawet dwutygodniowy urlop. Nie jestem materialistą, ale jak

to mówią, forsy nigdy dość. To jak będzie? – zapytał znienacka.
– Dasz radę załatwić kogoś sprytnego?

– Wybacz na moment – powiedziała, podnosząc się z miejsca i rzekła z uśmiechem na ustach: – Muszę iść upudrować noskę – po czym ruszyła w stronę damskiej toalety.

Jola stała przed lustrem. Palcami prawej dłoni poprawiała, swoją krótko przystryżoną fryzurę i nagle w jej głowie zaświtała na wpół szalona myśl: – *Może powinnam zaryzykować?* – Posiadała teoretyczną, niezbędną wiedzę na temat zajęć, które spoczywają na barkach każdego kierownika produkcji filmowej. Wiedziała również, że z tą funkcją wiązą się spore gratyfikacje finansowe.

Kiedy wróciła do stolika, usiadła i powiedziała:

– Nie mam pojęcia kogo mogłabym polecić, ale mam inną propozycję. Zadzwoni do Żerniaka i powiedz mu, że ja mogę podjąć się tego niewdzięcznego zadania. Powinien kojarzyć moją osobę, bo kilka razy miałam z nim okazję rozmawiać. Jeśli będzie zainteresowany, umów mnie z nim na spotkanie...

Tamten wieczór, okazał się przełomowym momentem w życiu Jolanty Ossakowskiej. Jesienią 2010 roku nie była już pracownikiem medialnej korporacji. Na własną prośbę zwolniła się z pracy, z zachowaniem miesięcznego okresu wypowiedzenia. Została również właścicielką jednoosobowej firmy o nazwie „OssaVision”, której siedziba mieściła się w jej dwupokojowym mieszkaniu przy ulicy Zajęczej.

Pan Żerniak był bardzo zadowolony ze współpracy z Ossakowską, która okazała się niesamowicie skutecznym producentem wykonawczym. Przez kolejne dwa lata jego licząca się na rynku firma, była jej jedynym zleceniodawcą. Jola, która kiedyś marzyła o byciu reporterką, odkryła w sobie talenty organizacyjne. Odnalazła swoje prawdziwe powołanie. Z chwilą kiedy wzięła sprawy we własne ręce, praca zaczęła jej sprawiać satysfakcję i stała się naprawdę przyjemną częścią życia.

Fundamenty swoich działań opierała na trzech podstawowych filarach. Na wiedzy zdobytej przez pięć lat pracy w korporacyjnym biurze, na doskonałej znajomości praw i zasad, które rządzą w medialnej branży oraz na bogatym wachlarzu kontaktów z ludźmi, zawodowo związanymi z produkcją materiałów audiowizualnych. W majątek firmy „OssaVision” wchodził dwuletni samochód mini cooper, dwa telefony komórkowe, tablet oraz laptop. Właścicielka nie miała potrzeb, aby inwestować w specjalistyczne wyposażenie lub sprzęt. Usługi, które świadczyła, opierały się na skuteczności działań i ich szybkiej realizacji. Nienormowany czas pracy oznaczał, że Jola musiała poświęcać zawodowej aktywności kilkanaście godzin dziennie. W jej prywatnym kalendarzu nie widniały dni określane mianem weekendów lub świąt. Prawdę powiedziawszy nie miała czasu na tak zwane życie prywatne albo angażowanie się w jakiekolwiek, długoterminowe związki. Przywykła do egzystencji kobiety samotnej, odnajdującej spełnienie w pracy. Przez jej życie przewinęło się kilka znajomości z interesującymi mężczyznami, które miały intymny charakter, ale były pozbawione szans na przetrwanie.

Jola cały czas współpracowała z Markiem, stanowili świetny team i zawsze kiedy działali razem, robota szła jak po przysłowiomu masłu. Korzystała również z usług innych operatorów kamer, a czasami przyjmowała zlecenie, gdzie obsada techniczna była już ustalona przez producenta. Firma „OssaVision” od chwili powstania, przez osiem następnych lat, działała wyłącznie na małym, ambitnym rynku paradokumentalnych seriali.

Z początkiem 2018 roku, Jola postanowiła zwolnić tempo. Nie narzekała na brak gotówki, miała nawet na koncie odłożoną pokazną sumkę, ale czuła się już znudzona zawodową monotonią i rutyną. Potrzebowała wyzwania. Potrzebowała czegoś nowego, świeżego, projektu o zdecydowanie większych walorach twórczych.

W rozmowach z Markiem coraz częściej mówiła, że szuka odmiany, że chciałaby w końcu zrealizować własną, niezależną

produkcję. Coś niebanalnego i egzotycznego. Miks historii, nauki i podróży.

– A co chciałabyś skutecznie? – zapytał z nutką lekkiej kpiny.
– Zdublować Makłowicza w damskim wydaniu, powielić Cejrowskiego i wylansować nową Martynę Wojciechowską, sklonować „Polaków za granicą” czy wypełnić lukę po Wołoszańskim i jego XX-wiecznych tajemnicach?

– Myślałam o innej tematyce...

– Tak? A o jakiej? – wpadł jej w zdanie.

– Ukazanie sylwetek Polaków, którzy zapisali się na kartach historii, ale z dala od granic naszego kraju. Moglibyśmy stworzyć całkiem ciekawy cykl dokumentów...

– Jola Jola Jola – wpadł jej w zdanie – wstrzymaj cugle niewiasto i przestań fantazjować. Po prostu zrób sobie urlop. Pojedź gdzieś, odpocznij i naładuj baterijki. Kiedyś, dawno temu miałem marzenia, widziałem siebie jako operatora w oskarowych produkcjach. Wierzyłem, że któregoś dnia pojadę do Cannes, aby osobiście odebrać laur, jakim zostanę uhonorowany za najlepsze zdjęcia, albo otrzymam w Berlinie Srebrnego Niedźwieźdza. Los jednak nie był dla mnie łaskawy. Nic nie potoczyło się po mojej myśli. Biegam z kamerą po Warszawie i cieszę się, że to bieganie ma przełożenie na finanse. Robienie materiałów na wyjeździe, pociąga za sobą brutalne koszty i dobrze wiesz, że jeśli nie masz klepniętej emisji, możesz popłynąć. Naprawdę chcesz utopić szmal w kosztownej wycieczce? W tym mieście roi się od tematów na ciekawe reportaże, tylko trzeba ich poszukać. Korupcja, przekręty, nadużywanie władzy, handel narkotykami, nielegalna prostytucja, szwindle deweloperów... Pamiętasz aferę mieszkaniową, sprawę Amber Gold albo ujawnione nagrania z restauracji „Sowa i przyjaciele”? – zapytał znienacka, a jego rozmówczyni w odpowiedzi pokiwała twierdząco głową. – Zamiast dumać o wybitnych rodakach z przeszłości, lepiej skupić się na żyjących gnidach. Chcesz zrobić coś innego? Świetnie i chwała ci za to, ja bardzo chętnie piszę się na nowości, ale za-

grajmy inaczej. Kiedy odeszłaś z firmy? – zapytał znienacka. – Sześć, siedem lat temu?

– Osiem – odparła.

– Jak wiesz – powiedział – trzy lata temu, zostaliśmy kupieni przez amerykański koncern Scripps Networks Interactive, a chłopaکی z oceanu, niemal natychmiast zaczęli wdrażać swoje wizje i koncepcje. Nasze programy informacyjne są wiernie wzorowane na ich szablonach. Stacja kupuje newsy od niezależnych reporterów i płaci niezły szmal, za krótkie materiały. Nic nie wskazuje, żeby cokolwiek miało się zmienić, a plotki głoszą, że niebawem zostaniemy przejęci przez Discovery. Polityka firmy będzie miała jeszcze głębszą formułę, wzorowaną na amerykańskich koncepcjach. Wejdźmy w newsy, pod każdym względem jest to lepszy temat niż paradokumentalne pierduty. Wiesz ile można zarobić na doniesieniach informacyjnych? Są tacy, którzy inkasują nawet pięć koła, za kilkunutowe relacje. Nie czekają na przelew, przynoszą gotowe, zmontowane materiały, bach bach i po sprawie. Układ jest taki, że stacja kupuje newsy na wyłączność, z prawem umieszczania własnego logo w treści.

– Skoro to taki miód i cukiereczki, to dlaczego w tym nie tkwisz? – zapytała.

– Bo doginam na cholernym etacie, a w umowie o pracę widnieje klauzula, która uniemożliwia zatrudnionym na stałe, nawiązania ze stacją innej, dodatkowej formy współpracy. Jesteśmy jak muły pociągowe, które mają robić tylko to, co do nich należy. Zarząd chroni swoje, żeby nikt nie korzystał w prywatnych celach z firmowego sprzętu i oprogramowania.

– No dobrze, a jak sobie wyobrażasz szukanie chwytliwych tematów? – zapytała ironicznym tonem.

– Mam kapitalny pomysł, jak rozwiązać tę kwestię – odparł z dumą. – Mam dojsćie, mam człowieka, który może nam podrzucać takie newsy, że czacha mała! Oczywiście on nie jest altruistą i na pewno będzie oczekiwał finansowych dowodów wdzięczności – wyjaśnił i posłał Jolce jednoznaczne spojrzenie. – Kuzyn

mojej żony jest stróżem prawa. Ma odpowiedzialne stanowisko w Biurze Międzynarodowej Współpracy Policji, a tam rozumiesz, przewijają się historie godne filmowych adaptacji. Paweł, bo tak ma na imię, w zeszłym roku wpadł na pomysł, że wybuduje dom. Dzisiaj siedzi po uszy w kredycie i cienko piszczy. Jestem pewien, że bardzo chętnie nawiąże z nami współpracę. Ma żonę, dwójkę dzieci i rozgrzebaną budowę, której końca nie widać. On potrzebuje forsy i dlatego moglibyśmy z nim pogadać. Co ty na to?

3. Cichy informator

Podczas pierwszego spotkania Paweł Urczyk, zrobił na Joli bardzo pozytywne wrażenie. Jak na policjanta przystało, był doskonale zorientowany zakresem usług, które oferowała firma „OssaVision” oraz z jej dotychczasowymi osiągnięciami. Większość informacji pozyskał od Marka, ale z rangi wykonywanego zawodu i stanowiska jakie piastował, miał również sporo możliwości zdobycia bardziej szczegółowej wiedzy. Urczyk był człowiekiem ostrożnym i podejrzliwym. Nie zawarłby układu z osobą, prowadzącą własną działalność gospodarczą, która ma jakieś problemy natury skarbowej. Zdawał sobie również sprawę, że jeśli zdecyduje się na przekazywanie, niejednokrotnie poufnych informacji, żaden trop nie powinien prowadzić do jego osoby. Działania policji, CBS oraz ABW związane z międzynarodową przestępczością, były skrupulatnie utrzymywane w ścisłej tajemnicy, a Urczyk miał do nich dostęp. Oczywiście zawsze istniało prawdopodobieństwo przecieku, bowiem w każdym dochodzeniu brała udział duża liczba funkcjonariuszy. Wiedza, którą zaczął osobiście przekazywać Ossakowskiej, zawsze pozwalała Joli i Markowi znaleźć się z kamerą w odpowiednim miejscu i o właściwym czasie. Dzięki temu mogli uwiecznić na nagraniach zatrzymanie grupy przestępczej, wtargnięcie służb do pomieszczeń gdzie przechowywano pokaźne ilości narkotyków lub broni albo ekskluzywne samochody, skra-

dzione poza granicami Polski. Raz zdarzył się incydent związany z aresztowaniem kilku członków międzynarodowej szajki, parającej się handlem ludźmi. Nie wszystkie ze spraw można było zaliczyć do przestępstw największego kalibru, ale każda z nich sięgała kilka pułapów wyżej, niż kryminalne ekscesy, do których każdego dnia dochodziło na warszawskich ulicach. Dla właścicielki „OssaVision” najbardziej zadowalającym był fakt, że stacja telewizyjna nigdy nie odmówiła zakupu jakiegokolwiek newsa. Pieniądze też były całkiem przyzwoite, ale nie aż tak fantastyczne o jakich swojego czasu mówił Marek. Gdyby Urczyk odzywał się dwa lub trzy razy w tygodniu, byłoby całkiem fajnie i istniałaby duża szansa, żeby utrzymać się z tego zajęcia. Sęk w tym, że oficer BMWP kontaktował się z mniejszą częstotliwością. Nie był pazerny. Forsa, którą otrzymywał za każdy „cynk”, pozwalała mu na koniec każdego miesiąca pokryć pokaźną część bankowej raty. Zachowywał daleko idącą ostrożność, bowiem miał świadomość, że gdyby proceder jakimś cudem wypłynął na światło dzienne, wówczas poniósłby bardzo bolesne konsekwencje. Ryzyko wpadki zminimalizował do tego stopnia, że Jola nawet nie mogła skontaktować się z nim telefonicznie. On dzwonił, ale z numeru zastrzeżonego. Podczas pierwszego spotkania, uprzedził Ossakowską, żeby od tej pory odbierała tego typu połączenia.

Mijały kolejne miesiące, a znajomość Joli i Pawła zyskała koleżeński charakter, byli z sobą na przysłowiowe ty, ale nigdy nie spotykali się na stopie towarzyskiej. Nie miały miejsca wspólne wypadki, weekendowe odwiedziny, nasiadówki w knajpach czy piweczko przy grillu. Kontaktowali się telefonicznie, a potem Urczyk przyjeżdżał jeszcze tego samego dnia do siedziby „OssaVision”, żeby zainkasować umówioną gażę. Za każdy „cynk”, otrzymywał od trzystu do pięciuset złotych.

W niedzielę 1 grudnia 2019 roku, Paweł po raz pierwszy nie zdradził w telefonicznej rozmowie istoty zagadnienia, powiedział tylko, że temat jest gruby. Późnym popołudniem zjawił się

w mieszkaniu Joli i dopiero wtedy wyznał w czym rzecz. Krajowa Administracja Skarbowa w porozumieniu z funkcjonariuszami CBS od wielu miesięcy rozpracowywała gang, zajmujący się produkcją i handlem kokainą. Działania operacyjne prowadzono na terenie kilku województw, a uderzenie w grupę przestępczą miało się odbyć w dwóch miejscach jednocześnie. Dzień wcześniej, przyjechało do Polski czterech obywateli Kolumbii i jeden Irańczyk. Mężczyźni zatrzymali się w wynajętym domu w województwie wielkopolskim. Funkcjonariusze mieli ich pod baczłą obserwacją. Wcześniej, ci sami mężczyźni w porozumieniu z dwoma Polakami, zorganizowali funkcjonujące na ogromną skalę laboratorium, w którym była wytwarzana i przetwarzana kokaina oraz magazyn do przechowywania narkotyków. Kilkanaście godzin przed wizytą Urczyka, w gdańskim porcie, przeprowadzono rewizję dwóch kontenerów, które przyplłynęły statkiem pod kolumbijską banderą. W ich wnętrzach znajdowało się 1600 worków z węglanem wapnia, co było zgodne z deklaracją celną, jednak pośród nich spoczywały 74 worki, które zawierały najczystsza kokainę. Narkotyku było dokładnie 1850 kilogramów. Uderzenie CBS zaplanowano na dzień 4 grudnia i miało do niego dojść w Gdańsku oraz w niedużej miejscowości pod Poznaniem... Cichy informator podniósł wówczas swoją stawkę, a firma „OssaVision” zapłaciła mu za pozyskaną wiedzę dwa tysiące polskich nowych złotych. Warto było ponieść taki wydatek, bowiem cztery dni później Jola zainkasowała za kilkuminutowy materiał pięciokrotność owej kwoty, powiększonej o VAT. News okazał się strzałem w przysłowiową dziesiątkę. Niemal natychmiast po telewizyjnej publikacji, zawrzało w Poznaniu i w Gdańsku. Plotka głosiła, że CBS wszczęło wewnętrzne śledztwo, mające na celu ustalić, gdzie nastąpił przeciek. Dochodzenie jednak nie przyniosło żadnych rezultatów, bowiem nikt nawet nie podejrzewał, że informacje wypłynęły z serca centrali Biura Międzynarodowej Współpracy Policji. Służby nie zaryzykowały jednak starcia z prawnikami stacji telewizyjnej, żeby dowiedzieć się od przedstawicieli mediów,

skąd reporterzy pozyskali informacje. Kodeks postępowania karnego doskonale określa termin, nazwany tajemnicą dziennikarską i próba wywarcia presji, mogłaby zniszczyć nieskazitelny wizerunek CBŚ. Nikt w służbach nie chciał ryzykować, żeby konflikt z mediami, przyćmił ich spektakularny sukces konfiskaty ponad dwóch ton kokainy o rynkowej wartości przekraczającej dwa miliardy złotych.

Grudniowy materiał był jak do tej pory największym osiągnięciem autorstwa Joli i Marka w kategorii newsów, zarówno pod względem rozgłosu, jak i wynagrodzenia. „OssaVision” po odliczeniu wszystkich kosztów, zarobiła wtedy na czysto prawie sześć tysięcy i automatycznie w oczach zarządu medialnej korporacji, zyskała status niezależnego producenta, którego materiały rozpatruje się w trybie priorytetowym.

Od tamtej pory minęło dwadzieścia długich miesięcy i żadna z kolejnych realizacji duetu Osa & Klich, nie mogła się równać z tamtymi wydarzeniami. Wiele się działo, a świat w międzyczasie został zdominowany przez koronawirusa. Ostatnim, znaczącym sukcesem „OssaVision” było rozdmuchanie afery związanej z rządowym zakupem respiratorów od handlarza bronią. Jola otrzymała wtedy od stacji telewizyjnej propozycję zrobienia długiego reportażu na ten temat, ale nie mogła się tym zająć, bo przez trzy kolejne tygodnie czekała ją praca na planie. Jednak w rzeczywistości, nawet nie chciała wchodzić głębiej w historię szwindlu z Ministerstwem Zdrowia w tle.

W tej chwili siedziała przed sztalugą i oddawała się swojemu hobby. Było kwadrans po czternastej, a na zewnątrz królował słoneczny, sierpniowy dzień. W tym samym momencie, kiedy Jola mieszała pędzlem kolory, żeby uzyskać zadowalającą zieleni, Paweł Urczyk jeszcze raz czytał maila, którego otrzymał przed południem od norweskiego policjanta. Przez kilkanaście sekund wpatrywał się w treść wiadomości, jakby chciał zapamiętać jej

każde słowo, następnie wylogował się ze służbowej skrzynki pocztowej i wyłączył komputer. Nim podniósł się zza biurka, wyjął z szuflady kopertę i schował ją do wewnętrznej kieszeni lnianej marynarki.

Na parkingu, należącym do Komendy Głównej Policji, większość stojących tam samochodów, spowijały cienie rzucane przez korony drzew, które ciągnęły się w dwóch rzędach. Jak na złość wiśniowa karoseria oraz przednia szyba mazdy, należącej do Urczyka, połyskiwały w pełnym słońcu. Mężczyzna na widok swojego wozu zaklął w duchu, bowiem miał świadomość, że w momencie kiedy tylko otworzy pojazd, z jego wnętrza buchnie uwięziony w nim ukrop. Komisarz uchylił na oścież drzwi od strony pasażera i sięgnął do schowka, ulokowanego naprzeciw siedzenia. Z wnętrza wyjął starą, można by rzec, prehistoryczną Nokię. Na karcie owego telefonu w kontaktach było zapisanych tylko kilka numerów. Bardzo ważnych numerów, a wśród nich, również należący do właścicielki „OssaVision”. Karta SIM funkcjonowała dzięki doładowaniom i była zarejestrowana na człowieka, który odszedł z tego świata pod koniec 2017 roku. Od tamtej pory Urczyk co miesiąc utrzymywał aktywność karty, kupując za gotówkę najniższe doładowanie. Wówczas nie potrzebował telefonu, który mógł mu zagwarantować pełną anonimowość i dyskrecję. Jednak komisarz był osobą bardzo przezorną i doszedł do wniosku, że za niewielką kwotę warto posiadać taką możliwość. Przyszłość pokazała, że miał przysłowiowego nosa. Każdy z kilku numerów zapisanych na karcie SIM, stanowił dla Urczyka dodatkowe, nielegalne źródło dochodu. Każda osoba, do której mógł zadzwonić z archaicznej Nokii, zawodowo była związana z prasą lub telewizją. Każdy rozmówca był również skłonny zapłacić za informacje jakie mógł usłyszeć od komisarza. Pierwszym z tych kilku numerów, które Urczyk własnoręcznie wprowadził do pamięci karty, należał do Jolanty Ossakowskiej. Po kilku miesiącach współpracy z firmą „OssaVision”, oficer BMWP świadomie do-

przewodził do nawiązania innych znajomości, którym przyświecał identyczny cel i charakter.

Chodziło wyłącznie o pieniądze.

Urczyk przez chwilę manipulował kciukiem i zanim wcisnął klawisz z wizerunkiem zielonej słuchawki, rozejrzał się dookoła, jakby chciał się upewnić, czy nikt postronny nie kręci się w pobliżu.

Po dwóch sygnałach, usłyszał znajomy, kobiecy głos.

– Słucham?

– Cześć Jola, z tej strony Paweł.

– Ooo, hej! Miło cię słyszeć.

– Jesteś u siebie, czy pracujesz?

– Jestem w domu – odparła i położyła na palecie pędzel, który trzymała w dłoni.

– Miałbym dla ciebie ciekawy temat...

– Sprawa jest pilna? – wpadła mu w zdanie, a w myślach szybko zaczęła wertować kalendarz swoich przyszłych zajęć. Harmonogram miała bardzo napięty. Pojutrze ruszały zdjęcia do nowej paradokumentalnej edycji znanego serialu, a „OssaVision” pełniła rolę producenta wykonawczego. W obecnej sytuacji nie byłaby w stanie porzucić swoich obowiązków w pogoni za telewizyjnym newsem, chyba... Chyba, że temat naprawdę byłby wart przysłowiowej świeczki.

– Nie, nic pilnego – odpowiedział Urczyk i dodał: – Mogę cię natomiast zapewnić, że sprawa jest gruba. Powiem, że nawet bardzo gruba i nadaje się, jak to mówią w twojej branży, na dłuższy metraż. Od razu zaznaczę, że w grę wchodzi czterocyfrowa kwota. Jeżeli jesteś zainteresowana, mogę być u ciebie najdalej za pół godziny, a jeśli...

– W takim razie zapraszam – nie pozwoliła mu dokończyć kwestii.

Jola podejrzewała, że kuzyn Marka nie tylko jej sprzedaje informacje. Zapewne doszedł do wniosku, że jeśli będzie rozsądny,

wówczas może sporo dorobić do policyjnej pensji. Skoro powiedział, że sprawa jest gruba i już dokonał wstępnej wyceny, wołała nie odpuszczać. To, że się z nim spotka i wysłucha, było niezobowiązujące. Jeżeli temat faktycznie okaże się atrakcyjny, wtedy przystąpi z nim do finansowych negocjacji.

– Ok, widzimy się niebawem – odparł komisarz i dodał: – Nastaw wodę na kawę, bo historia jest długa.